



Piotr Sasin

Okruchy zbyt wczesnych wspomnień

Z rodzinnych wyznań zorientowałem się, że byłem ostatnim, bardzo upragnionym dzieckiem moich Rodziców. Poza starszą o 18 lat siostrą Krystyną miałem jeszcze dwoje rodzeństwa, których nie dane mi było poznać, bo zmarli przed wojną w bardzo młodym wieku. Jeszcze przed moim przyjściem na świat, we wrześniu 1939 roku żołnierze Wehrmachtu zakatowali w Powsinie mojego kuzyna, dowodzącego łącznością. Zabili go kolbami, chociaż był ranny...

Ze szpitala św. Ducha posiadam dokument stwierdzający wypisanie mojej Mamy ze mną po porodzie. Tyle, że urodziłem się nie w szpitalu, bo ten zbombardowano, tylko w miejscu gdzie go przeniesiono, to znaczy w sali rozpraw sądu. Mama zaryzykowała i zamiast umieścić wcześniaka w inkubatorze, otulała mnie wata (może ze względu na niepewność co do dostaw prądu). Już wtedy według opinii lekarki byłem zbyt nerwowo... Nie przeszkadzało mi to 4 lata później, mimo woli, rozbiwać w czasie Powstania Warszawskiego uczestników nabożeństw, wołaniem: „Śpiewajcie ludzie, śpiewajcie”.

Jedną z niezwykłych sytuacji była ta, gdy mama zaryzykowała podejście ze mną do Niemca na ulicy, choć trzymał rewolwer w ręku, bo inaczej nie przeszłaby do sióstr zakonnych, gdzie rozdawano mleko.

10 sierpnia 1944 roku wypędzono nas z kamienicy przy ulicy Dzikiej 32, którą zaraz podpalono. Niewiele poza glinianym garnuszkiem zdołaliśmy ze sobą zabrać. Dreptałem więc na dworzec, skąd nas przewieziono do przejściowego obozu w Pruszkowie. Tatę z innymi mężczyznami przetrzymywano przy ulicy Tatarskiej przez jakiś czas. Po zabraniu siostry do obozu, wywieziono nas do Łowicza, gdzie jakoś chyba pomogły panie z RGO (pozostały zaświadczenia o zarejestrowaniu nas jako uchodźców i niewykorzystane sierpniowe kartki żywnościowe). Z Łowicza udaliśmy się do Białutek i choć byliśmy u rodziny, to jednak władze zabrały Tatę do robót ziemnych. On sam później, udając starszego niż był (urodzony w 1887), znalazł nas w Borkach u mojej chrzestnej. Ale było to tuż przed styczniem 1945 roku. W tamtejszym ogródku widziałem groby żołnierzy niemieckich i radzieckich. Oba wojska, po kolei, miały u ciotki przy młynie swoje szpitale.

Wspomnę tu, że wyżej opisane wysiedlenie przez Niemców było drugim w moim życiu. Pierwsze nastąpiło, gdy musieliśmy zamienić się mieszkaniem z Żydami i opuścić Pl. Parysowski, gdzie tworzono getto. Chyba niedługo potem, w Borkach, Niemcy zajęli z oddziałem i szpitalem gospodarstwo mojej chrzestnej, a jednocześnie ciotki. Kiedy jeden z oficerów SS zobaczył jak płacze i zapytał o przyczynę, odpowiedziała, że nie wie co się dzieje z jej siostrą (moją Mamą) i wskazała na czarny dym niesiony przez wiatr znad Warszawy. Po pewnym czasie oficer powiedział jej, że jadąc akurat służbowo może zabrać dla moich Rodziców przygotowane przez nią warzywa i kurę. Wielkie musiało być przerażenie

Rodziców, gdy nagle na piętro kamienicy SS-man wniósł worek i kazał im pokwitować jego zawartość... On sam czuł się potem dość zadowolony.

Co do Rosjan zaś (albo Białorusinów czy innych z Armii Czerwonej), gdy już po Niemcach znaleźli się w Borkach, to wiem tyle, że przed atakiem w białych kombinezonach zaglądali do kościoła w Łomnej. Ci ze szpitala natomiast zapewne musieli często do mnie zagadywać, skoro potem zapytałem księdza Gregorkiewicza: „Szto ty gawarisz?” ...